Nagroda im. Tadeusza Sułkowskiego
za rok 1968

Jan Darowski

DRZEWO SPRZECZKI

OFICYNA POETÓW I MALARZY
LONDYN 1969

Rysunek na okładce:
Hanny Wolskiej-Czachorowskiej

Printed by The Poets' and Painters' Press
146, Bridge Arch, Sutton Walk, London S. E. 1. England

JUSTYNIE
ADAMOWI
MARKOWI

(na potem)

WESTMINSTER
(PROTALAMION)

Z piany ruchu i światła, z mętnej ochlofali
rozchlapywanej w ujściach spraw wielkiego miasta
zderzyli się milczeniem, ku sobie wypchnięci.
Pustką odjezdną wiało od peronów nieba.

Szale ócz się mijały, ważyły w bezmyślu
w oszczędnych miligramach smutku i nadziei.
Próżno krztusił się starter języka, zacięty.
Pomnikom było łatwiej zstąpić w tłum z cokołów.

Zapomniały się cegły w historycznych domach,
wyziewały się okna matki parlamentów,
ku źródłom szła Tamiza i brudne łabędzie,
w znużonym esperanto plątały się drzewa.

A oni na spalonych wieżach swych rumieńców
brnęli przez najzawilsze milczenia narzecza —
zegary ocierały zapocone twarze
i rdzewiały klucze w ręku Apostoła.

I tak nad nimi zaszło niestrawione słońce,
i tak rzeczywistości gmach rozwiał się w mroku,
posypały się gruzy dnia pod stopy głucho,
bizantyńskich mozaik noc była podłogą.

A pod nią drżały mostów archanielskie chóry
rozkraczone nad rzeką w mlecznych antyfonach —
spodem stary holownik trąbił seksualnie
wlokąc ciężarny harem na bazar domysłów.

GRAEAE

Szare są, stare mimo młodych lat,
z jednym zębem do spółki, jednym okiem —
zębem spróchniałym nieco, okiem zezującym —
i nowością: jednym wspólnym językiem.

Zamieszkują opuszczone mrowiska,
Pterodaktyl, hukając po węglowym lesie,
był bliżej śpiewu. Lecz bądźmy sprawiedliwi:
bywa, że nasze grzechy nas zbawiają.

A dziś, gdy moda w mrówce nas rozgrzesza,
jak komu wytykać jąkalstwo, impotencję?
Wieczne czuwanie nad kropką nad i
nie zostawia energii na więcej.

Lecz trudno uwierzyć, że do nich należał kiedyś hełm,
w którym śmierć samą podchodził poeta.
Magiczny trzos, sandały lotne gdzie są?
I cierń róży wiatrów.

Niestety. Obcina nas król rzezimieszków
a najlepsze obuwie się zdziera.
Ostatecznie, lepszy jąkała na forum niż mędrzec w
muzeum
odlany ze złotego milczenia.

IKAR

Pod wzdętym niebem swego podniebienia
pięćdziesiąt lat
latał
nie zleciał
za całe plemię hreczkosiejskie
serdeczył się w obłokach

Były strofy
antystrofy
katastrofy
nie było

W końcu musiano go ściągnąć na ziemię
(za sznurek)
rozebrać całą fikcję listew papieru klajstru
bo już drób bez jaj gdakał mocarstwowo
koligacje snuł z herbem narodowym ...

Płaczmy
kto ma cebulę w domu

OD RAROGÓW

1.

Gdy wrócę od rarogów
chory horyzontem
cóż mi po pierworodztwie
jeśli rodzi mnie trumna?

Nie odpowiada ojciec
wstydliwy pęcherza
bierze księżyc na plecy
zanosi za górę.

Cóż z tego że moja strzała
prześciga pożądanie?
Znajduję ją potem
zarytą w piasku.

A gdy zrzucę pod namiot
tylko brzemię jutra
czy wystarczy powiedzieć
dość że cięciwa grała?

Nie oszukam tym dzieci
przy pustym kotle.
Moje usta skwierczą
na wzgardliwych węglach.

Ziemia szczęśliwych łowów
nie tu pod stopami
nie tam jest gdzie krąży
nad głową gwiazda Pies.

Cóż mi po pierworodztwie?
Wielki ślad ucieka
w kamień w nadcierpliwość.
Gryzą się chimery.

Tylko ziemia się kręci
jak klucz w widnokręgach
otwiera dni i noce
jak zgrzytanie zębów.

2.

Błogosławieństwo biorą
adepci okazji
kto nie wyprzęga siebie
z swej gry: umiera.

Tracą błogosławieństwo
zapatrzeni w stałość.
Orać w pustyni będą
bez nadziei żniwa.

Siedzę w bramie zwierzyńca
z berłem paradoksów
i nic z tego że śpiewam
naprawdę nic z tego.

Język mój już wyciera
dno odwracalności
mdleją moje ramiona
dźwigając niebo puste.

A któż zdoła naprawić
ten dzban dziurawy
z którego już wyciekło
nawet moje pragnienie?

Nie odpowiada ojciec
niesłuch niemowa
oczy z żołądka świecą
pod siwy włos.

Straszny jest ten starzec
w swojej słabości
mięso mięso
od rana do wieczora.

Gazelom tchu nie starczy
biec przed śliną.
Moje powieki są w strzępach
od trąb jego głodu.

POST MORTEM

Z gwiazdą Dawida zeszli pod naszą ziemię,
zatruli powietrze dwutlenkiem śmiertelnych Psalmów
musimy się dusić, my, mordu świadkowie,
za drugą rączkę z katem iść pochyleni w dziejach.

Nie pomoże alkohol. Na powierzchnię wypływa
oleistą purpurą nasza hipokryzja.
Nie pomogą pomniki i fakt żeśmy bezbronni
byli jak oni. Nie wszystkich smucił miecz
rozcinający węzeł Gordyjski dla nas,
rozcinający dwa życia narodu.
Nie pomoże alkohol, Lete tchórzów i głupców.

Morderca może w białych rękawiczkach
podawać rękę tym co ocaleli.
Może powiedzieć, patrz moja prawica
czysta jest, nie wiedziała
co druga ręka czyni.

A zamyślony hura-chrześcijanin,
strząsając popiół cygara w Atlantyk,
rzec może, owszem, napis był i ręka,
ale nie miałem z sobą okularów.

Ale my w spisku byliśmy najstarsi,
nawet milczeniem nie zobowiązani,
jedliśmy chleb wspólny, z tej samej skały
pili, ich ręce dotykały nas,
bezkrwiste ręce biblijnych krawców —

. . . . . .

Te same ręce są wiatrem za szybą
szarpią czerwony wstyd wieńca
szarpią pamięć

DRZEWO SPRZECZKI

Nagle między nami
z niczego
cisza ciężka i pełna obrazy
w pośrodku: kaktus

Ile zupy
w tych gwoździach

Ile w tej zupie
oczu

w oczach
żalu

Gdyby choć dąb
z wroną w ambonach jego
z bankierską trumną

Albo jabłoń dzika
z płonką gnothi seauton
o smaku noża

Lub byle świerk
ze sztuczną zimą waty
z szyszką serca w środku
wyschniętą

Lecz w tej parodii drzewa
gdzie sęk?

Nawet aby spocząć
w cieniu jego trzeba
fakirem być

Z PSYCHOLOGII KLUCZA

Klucz też ma swoje chóry
jeśli go wrzucić w dość głęboką studnię
i o nim zapomnieć

śpiewa wtedy zatopione pieśni Atlantis
i piękny jest
i jego żurawie wracają

Ale na łańcuszku to jest on bezsilnym psem
gdyż tajemnice prawdziwe strzegą się same
więc w nas zgrzyta
i porusza sprężyny naszej powszedniości
lecz poza nami nie otwiera nic

Jego krew jest zimna
białą manną biegunów zawiane zęby
kryją bezbożnego sofistę
handlarza pustych orzechów

Bo naprawdę klucz jest
od kluczenia i do wykluczenia
a bramę niebieską otwiera wiatr
dzwoniący wytrychami śmierci umęczonych w południe

KTO IDZIE?

„Widziałeś moje zdjęcie
ale mnie nie widziałeś"

Zdejmowano nas w popłochu
w noc rozdzierającą
gdy się ziemia trzęsła
i z rąk pryskał
w krótkich spięciach przerażenia dotyk
i gdy wiatr niósł na skały
ludzi drzewa krzyże

Z miazgi tego zrekonstruowaniśmy
kapo zbawca złodziej
z tej samej rany wydobyci nago
z sobą przemieszani

Ten sam płacz przewijał nas
i przewija
karmi pierś obcięta

Nigdy nie dowiesz się już kto kogo
zbawia a pozbawia
i czy choć czoło mam potępione
nie mam rąk do raju

GREAT GRANDFATHER CLOCK

To nasze grzechy ciężkie
na jego łańcuchach
sznur szuurrr w nocy
budzą ten dom

Co drzwi to niepokój
paraliż klucza
bielmo niedocieczone we wszystkich dziurkach
i więcej nic

Co pokój to nie drzwi
a tylko szczęka luźna na zawiasach wiatru
gadu gadu in aeternitatis
i więcej nic

Tylko nasza płaskość pozwala nam tu
szparami oddechu
przemycać się od deski do deski

Tylko przez nasze czoła z taniej miedzi
kiwamy się na patyku
o sekundę ocaleni przed sobą
o wieczność wyminięci

Ach te wahadła!
Czy to to tylko że wiemy iż w końcu
i tak nas oskarża diabeł?

Niech nas to staroświeckie pudło spowiada
niech rozgrzesza
tymczasując miedzianą ręką
módlmy się — pokutujmy
według jego wskazówek

Która godzina?
Już po wybiciu zębów.

Co po śmierci?
Boję się — przewiduję
szkło

MOJE, ŚWIĘCONE

Florianowi Śmieji

Średnie jajo
ledwo wyjęte spod czarnego ogona
z nieujawnionym jeszcze żółtkiem słońca:
zaskorupienie w śnie

Oto do czego oblizuję się
oblizuję się
(choć Mercator pokazuje dobitnie
że dla wszystkich nie starczy)
wołam litwo ojczyzno

O jaje
pomalowane na pstrą kraszankę
wódką święcone
co w twoim wnętrzu
na jaki śpiew zanosi się
jaki pazur?

Już cię mieniono jajem Paraklety
świata sumieniem
już ostrzegano: papuże jajo
wieczna w nim dla nas huśtawka

a wciąż jesteś
jakim cię znalazł w boru Swarożyc
z gniazda niepewnego
nijak na sztorc cię postawić

A stłuc?
... zbliża się czas tłuczenia
w nowym naczyniu

Stara patelnia tymczasem wisi na haku
we wiarygodnej wieży
na czym hak wisi nikt nie wie
kto go nie połknął

Nie tkwi on w oku bliźnego
ani w belce w oku bliźniego
ani jego żony
oku
które widziało cud
i wypadło
i stłukło się
na wieki wieków amen

Lecz wyżej
gdzie dmucha
w dudy doskonałości
Duch
albo gdzie orzeł
pokonany przez reszkę
albo też zwykłe od ucha do ucha
poderżnięte gardło
śpiewa
i aniołowie się wędzą
w dymie wiejskich kadzideł

Czy czujecie już uchwyt patelni w ręku
czy wiecie co się smaży
o jakim jajku
bajka?

Białko jej zlewa się białkami oczu
w magmę sentymentalną
która
po dalszym podgrzewaniu okazuje się
nie będzie bazaltem
ani budowlą ani rzeźbą białą
ani niczym w co skraplają się sny

bo oto nam ręce parzy
prasłowiański łój
z jego prazapachem łojowej świeczki
kopcącej się w pustej czaszce
z jego niestrawnością
preorganiczną
z jego zwojami tłustych zawiłości
o życiu
o śmierci
o destylacjach z niezapominajek
o zbawieniu w bursztynie

Orient
zdezorientowany
trochę turban
trochę turkot
piątego koła wozu Europy

. . . . . .

Nabijmy sobie tym fajkę i spalmy

. . . . . .

Piersi mam pełne skorup

AEGEUS

Czekałeś — pisze matka
aż do ostatniej chwili
ustami w mroku szeleszcząc jak papier
pół z tej
pół z tamtej strony pacierza
pytałeś:
Jest coś?

Twoim Sunion było
łóżko chorego przy oknie
oblewało je morze twojej bezsenności
szare
bez horyzontu

Stąd wypatrywałeś
do końca wierząc w stałość umownego znaku
białe żagle czy czarne
ale śniegu na drzewach już dostrzec nie mogłeś
nocy odróżnić od dnia

Listy moje czytałeś po x razy
nie rozumiejąc nic

Szyfrem pisze —
kiwałeś głową znacząco —
skrypt linearny B

Tu mówi: „wnet wybuchną róże"
wojną mi pachnie ten kwiatek

a to o byku
wiadomo co to

Pisałem:
Nie ma tu zakładników
Prawiczki nasze mają teraz dzieci
prawe i lewe
(jedna jest w domu wariatów)
chłopcy zaś
ci mają tutaj sławę b. dobrych kelnerów
i to jest fakt

A ja
wciąż w tej budce z dewocjonaliami
ale to nie idzie
trudno wyżyć gdy się nie ma fachu
mówią że Bóg umarł

w tym strzeliłem byka.

Drogi ojcze
cóż Ty mi tak wciąż w kółko o tym Dylemacie
który mam brać za rogi
że złocona śmierć

i ten labirynt ... żeby się nie zgubić

Gubię się czasem w rachunku sumienia
gdyż lata lecą
w rzeczach istotnych nie

Wszystko inne o co pytasz
to zły mit
oprócz Ariadne
z tym że nazywa się ona Gladys
jak ci już nieraz pisałem

Prawdziwy jest również czas
(żegnaj narazie)
bo czas to pieniądz jak mówi poeta
zaś między nami kto wie
komu się reszta należy?

CIOCI Z WRONĄ

Wróżyłaś mi życie długie
jak powróz
który mi kiedyś włożą na głowę
i przyszłość wielką
jak przepaść
która otworzy się nagle pod nogami

Jak się to wszystko ciociu
aż przepełnia!

Powróz mam
do samych stóp mi zwisa
to we mnie skręcenie
to nienaciągane
w białej wieży z kości mojej
coś
z tłuczeniem szkła

Przepaść:
Jak mi do głowy idzie
ten twój dym bez ognia
ten omen z migracjami uduszonych ptaków

Ponadto
kat mnie śmiertelnie kocha
i kto wie
czy już nie za wyrok
kto wie

ZŁOTY DESZCZ

Złoty deszcz
tak tak — mówią
wstecz biegli w piśmie doktorzy
pijani śpiewem much
złoty deszcz
tak tak
po deszczu grzyb bajeczny

Ale ja też (od much święty Sebastian)
swój lep miałem
lepszy
— więc daruję wam wieżę z kości słoniowej
i łańcuch
który w niej dzwoni

Bo jeśli tak jest
złoty deszcz
dlaczego mnie ślimak zawstydza
swym pędem?
Dlaczego zawsze jego trąbka wśród traw
bez trudu wygrywa
a ja
ciężko pełzam w imię ojca z ołowiu
i na tej samej świartce beznadziejnej soli
wychodzę ze skóry?

Złoty deszcz
tak tak
po deszczu grzyb bajeczny ...

SZKOŁA PRZYZWYCZAJENIA

A ja przyzwyczajam się
przyczajam
pod kurzem nałogu

Łyżka jest u mnie
do jedzenia
nie odmierzę nią głodu
głupiego nie zmieszam

Mój nóż
chleb kraje albo między żebra
tenci nóż utnie trąby Archanioła?

Krają nas
coraz drobniej
ostrza bez uchwytu
pożerają nas słowa

przedłużę życie
sztućcem skracając sztukę?

Ale co zrobić z łyżką
przy pustym talerzu?

Jak nie doceniać noża
na gardle?

OSTATNIA WIECZERZA

Dwanaście apostołów
a po stołach
blat z Bogiem tutaj al fresco złączone
ich łokcie do raju

Tu się wieczerza rano
tu się panowie łaska
nie mlaska
ani w karty gra ani w domino
ani w żaden hazard
który Jego jest

Tu się wino w wodę napowrót przemienia
woda w krew — krew krzyczy:
dość cudu że woda jest wodą!

Ale to już nie myje
to już tym brodom
pozapuszczanym aż w mój chleb powszedni
i w moje nie do opisu pola
nic — pomyje

A komu to nogi pocą się tak pod stołem?
A kto zdradzi Judasza
za garść komplementów?

MOJE, ZAMUROWANE

1.

Zwęża się coś
zamyka argument
kozika z kozą

Dychawiczne organy
grają jeszcze
sztandarową kantatę
wypełniają róg kozi
nieświeżą obfitością

Kornukopia
biorąc nieambitnie
lecz w co tu dmuchać
zwęża się coś

Była tu kiedyś brama
prawie triumfalna
zabrakło cegieł do pełnego triumfu
ale zawszeć brama
była tu
kiedyś

Nie zapominam o piętach weteranów
(teraz z kartoflami)
o szczenięciu które wąchało je z czcią
drepcząc za pięknym pochodem

temu kość i do budy
i taniec w łańcuchu

zwęża się coś

A ten mur odrapany
z jedną szparą wilgotną
z pomieszania języków
żałosne wycie psa

Kto tu wchodzi
kto tu wkłada rękę
w te poty przedśmiertne
w ten skurcz ust
w pół-śniegu w pół-słowa?

Pustka zwisa na drzewcu
też postrzępiona

2.

Miasto
jak pieprz w oczy
nie wytrzesz
można tylko wyć w sobie
albo wypłakać

Lecz tu nie Eufrat
a puste worki
wydojone góry psalmowe
klapa
biusthalter

3.

Oto nasze wnętrzności
kłęby oszustw wyprute z klasycznego stylu
goła kość ogonowa de bello gallico
stercząca z komentarzy

4.

Noc jak nic
rigor mortis w powietrzu
albo odwrotnie
nic jak noc
jak pieśń nagrana na grobową płytę

Wyżej
chmary rąk wirujące
obciętych rąk

Kikutami
w sobie się żegnamy
w imię ojca niewidka
oczy przecieramy

Nie ma w tym ciekawości
nie ma bramy

Tylko mróz i starcy
w zgłupiałym zegarze
których kukania słucha
obojętny mur

Na nim sprytniejsze dzieci
drzwi sobie malują
i tak czasem wyjdą na spacer

KOŁA

(W SPRAWIE LINII PROSTEJ)

I.

Zbieramy się w kółka
tworzymy koła
błędne nawet
aby tylko nie zderzać się w życiu
deptać po nagniotkach

W kołach uczonych
w kółkach brackiej pomocy
i więziennego podwórka
bezpromiennych kołach
wiara w wspólną oś
i strach przed wykolejeniem się łączą
wrogie sobie dusze

Chodzimy
pykamy fajki
rozmawiamy długo o strukturze jodu
kasach pancernych
miłości
śmiejemy się —
płacz za krzywizną koła
nie należy do nas

Podobno na tych kołach
posuwa się ludzkość

tych kołach z wody!

II.

Kręcą się kręcą
nalane krętactwem
zgrzyt zgrzyt coraz bliżej dziąsła
i smród
rozkładu bez jazdy

Teć są nasze dwa wieczne
ustawiające się za i przeciw kółka
raz do osi
raz do osła
który dźwiga ciężkie podejrzenie
trzeciego

Jazda i stop
(cały w siniakach jestem
od tych zahamowań!)
aż się pociąg płciowy
komu wykolei

O nieukoitus!

Potem ach nasz dozgonny
aż do rowu
rower

On sobie pedałuje
ona sobie
łączy ich tylko wspólny
łańcuch niereakcji

no i brak hamulca

III.

Te są składane
i zbawiają
przez trzy koła w jednym
(kosmiczny patent)

Jedno po oś grzęźnie
w subiektywnej smole

Drugie z gwintu wiary
wiecznie się wykręca

Trzecie z cukruuu całe
— ach bimber bimber
nie do uwierzenia!

A wyjm z waty
coś nam się tu nie składa
coś trzeszczy

(w tabliczce mnożenia?)

czy to ten stos jeszcze
a la Torquemada
te ku zbawieniu duszy
naciągane gnaty?

Sela! Sela! Prrr

IV.

To te drobne przed nami
od drobnych spraw
po kocich łbach najlepszych intencji
kołodzieje trzęsienia

Prędzej od już
(powód w obwodzie)
w pod tajemnicą taczki
w pod bez wytchnienia
biegiem z bąblami w dłoniach za nią
w te za
kółkiem ucieczki
przed własnymi piętami
pięty własne

W końcu
i to nieruchomość
taczka
tyle co niecka

uff!

V.

Powtarzają się w nim
dzieci grające w durnia
durnie w dzieci
młynek od kawy bajki i bogowie

Ono się nie powtarza

Bez osi
bez obwodu
wypełnione całe swoją obecnością
obraca się w sobie

Mistyk mówi o nim:
koło ratunkowe
— i tak samobójstwa się mnożą

Astronom mówi
że z obrotów Ziemi
— i tak sól sypie się w groby

Bankierzy mówią:
z obrotu pieniądza
— i tak nas zyskują śmietniki

Tak się powtarzamy
do skołowacenia

Dzieci grające w durnia
durnie w dzieci

KIERAT

Jakie to dziwne tryby
kręcą się w mojej głowie

Wołania
odwołania
kierat bez wołu

Dlaczego to te tak wciąż
ząbek w ząbek
samoprzeżuwanie się w kółko

I te cep w cep
oklepanie
o odległym ziarnku?

Ziąb z tego
i za krótko
zawsze o przenośnię

... ale klucz dzikich gęsi dalej
trafia w swoją dziurkę

DWIE WIEŻE

Wieża tak
wieża nie
dwie wieże bełkotu

Na głuchym pniu
samotnie
nad przepaścią mieszkać
wtedy złoty ptak

Wtedy z nas wróżą
(w piątki na półtora)

na sztandarach noszą
mężnie umierają

orzą swe dziedzictwo
biczów i przysłowia

wierzą w piękny lot
i czas gwiazdozbiorów

Wieża tak
wieża nie
dwie bełkotu wieże

cip cip
nakręcane
graby ich zegarów

Konieczność Dziejowa
Jednostka i Naród

raz złapią
i na zawsze:
cipa na posyłki
pocztowy gołąb

PIORUNOCHRON

Idzie dziecko do lasu
gdzie poszła nauka
nie boi się błyskawic
papugi się nie boi

Owszem mówią poeta
lecz nieokrzesany
kultury umysłowej
fundamentów brak mu

Idzie dziecko do szkoły
trudzi się dostaje
za ucho piorunochron
piórko piękne doktorat

W ziemię mu teraz wsiąka
wszystko oprócz dymu
Ale huczek jest (że literatura)
i belfrom bezpieczniej

Z NIEPODRĘCZNIKA ZOOLOGII

1.

Leży w kącie ogrodu
na grobie kota
przywędrował niedawno i leży spokojnie

Czy był przyjacielem burego
czy jego zabójcą
nigdy się nie dowiemy

Leży w kącie ogrodu
w barwach obojętności
ale widać że napięty wewnątrz
i na wszystko gotowy

W mgliste poranki słychać
pod śpiewem ślimaków
jego głęboki wzruszający bas

Lecz wystarczy się zbliżyć
do drzwi ogrodowych
od razu cichnie
cały przemienia się w słuch

Może jest w naszych krokach
coś co go przeraża
może ta jego cisza jest krzykiem
skamieniałym od zgrozy
może jego głos
w głąb ziemi woła aż do skamienielin
i wśród pra-ryków pra-ech pra-klekotu
daje nam imię

2.

Chciałbym wam opisać ten kamień
nie potrafię

Na to trzeba go wpierw zamknąć w klatce
długo karmić sobą
długo obserwować
i poznać jego szare skryte obyczaje

Ale nic z tego nie wychodzi
wiem bo próbowałem

W klatce
kurczy się nam w oczach
skóra mu się głazi
i wnet przestaje oddychać

Leży w trocinach mały zimny obcy
niewypał przeżycia

Żywego natomiast opisać
potrafiłoby dziecko
ale dziecko pochyla się nad nim podnosi
z braku słów do serca
i bez zdrady całe
w krzaku krwi swej stojąc
wspaniałomyślnie wypuszcza na wolność
przemienionego w ptaka

Słyszymy o nim jeszcze:
spadł mi z serca
ale nasze opisy już się nie zgadzają

Zbyt prędko niektórym
ptak przemienia się w kamień

WĘGORZ

Nieraz go miałem
widziałem pod wodą
w cieniu cienia cień z wędki wysnuty
w sennych wodorostach
wyobraźni chłopca złote jego oczy
zapalały się
gasły

Wreszcie dopadłem gada
gdy po rosie sunął nad rzeką do grochu
zarzuciłem nań worek

Wił się podemną prężył
wściekle gryzł
kamień rękę znalazł
i zmiażdżył mu głowę

Rozluźniło się wysokie napięcie
woltaż jego mięśni
wsiąkał w ziemię drgawkami
wnet zawisł mi w ręku
jak zbłocony kabel — żarówki ócz zgasłe

Było w morzu ciemniej czy jaśniej?
Albo w moim życiu?

Zapalało się we mnie tam nad rzeką coś
co trudno nazwać światłem

LUSTRO

To było dziwne lustro
i bardzo głębokie
i mieszkała w nim Pani
podobna do mamy

Siedziały z sobą często
z rozczesanym wzrokiem
i o czymś bardzo ważnym
namiętnie milczały

I ja tam raz spojrzałem
stojąc na szufladzie
w środku był inny chłopak
pewno syn tej Pani
i język mi pokazał
i ja mu też

Nigdy przedtem nikomu
tego nie zrobiłem
to ten inny chłopak
on złego mnie uczył

Ale to było dawno
bardzo dawno temu
i już nie pamiętam
kiedy się rozbiło

Ciekawe czy on żyje
czy urósł i czy wie
jak ja się strasznie bałem
że tak zostaniemy

z wywieszonym językiem
długim nieskończenie

i że się zamknie z nami
dębowa szuflada
że śmiać się po nas będą
cyniczne grzebienie

SEN TZW. WIECZNY

Uśmiechający się przez sen
powiedzmy śródletni
mają tylko blady
błędny cień uśmiechu

— westchnąć się rozwieje

Uśmiechający się przez sen
tzw. wieczny
im widać wszystkie zęby

Dlaczego myślicie oni
śmieją się tak
„całą gębę"?
Czy nie przypadkiem z nas
że ich opłakujemy?

Leżą sobie
w ziemi obiecanej
wśród cyprysów
pod kołdrą z kamienia
zdmuchnęli swoje gwiazdy
i spokojnie śnią
ten ich sen
ten ich sen
wieczny

— to jest: nas
jak dobijamy rano
na trzeszczących tratwach
do brzegu dnia
skaczemy
każdy w swoją skórę
szukamy butów
w lustrze
i pod łóżkiem twarzy
mówimy be
baran do owcy
spóźnię się cholera

Nie zazdroszczą nam
poznali koszmar życia
swoje odsypiają

zagrane mają wszystkie
karuzeli konie

zegary pracują za nich

HOMO FABER

Zaczęli od kul
sztucznych zębów
i szklanego oka

Już dzisiaj uszy
są nam właściwie całkiem niepotrzebne
nie słyszymy nic
wyżej włosów
niżej niż naskórek

Język nasz
wszędzie zastępują drewnianym
językiem naukowym

Serca też
słyszę
będziemy mieli plastikowe
perpetua mobile
nieśmiertelne pompy
nikt więcej nie będzie umierał
na udar serca

najwyżej nieudar

A gdy się czas wypełni
i nastąpi noc
(noc na wieki wieków
o której prorocy)
powiedzą:
tylko krótkie spięcie w gwiazdach

i zaraz naprawią

DZIECI NASZE BĘDĄ MÓWIŁY...

Wystrzelali wyłapali
dla skór kości groszy gapiów

Cały świat pusty będzie
nic na czterech nogach
prócz krzeseł stołów — nie wyskoczy wilk
już z lasu ani z bajki

Zostaniemy sami
my i bakterie księżyc i kamienie
i może kot rzezaniec
i pasożyt pies

Dzieci nasze będą mówiły:
Ryszard Psie Serce!

DROGA

Gdy człowiek zgubi siebie
zaczyna szukać drogi okrężnej do Indii
albo na księżyc
lub do socjalizmu
i ścina drzewa głowy wszędzie leje beton
brukuje stawia znaki i latarnie

Ale z lasami znikło święte Jeruzalem
miasto Przymierza
wydrenowano tęczę
wraz z wodą moczarów

Boją się nas zwierzęta
i kwiaty nie chcą już z nami rozmawiać
ani Bóg —
otwieramy usta
sypią się kamienie

Cóż zrobi z tym człowiek?

Stawia sobie dom
wieżę bełkotu więzienie nagrobek
i zimny z czoła ocierając pot
na klęczkach w polu plecami do słońca
brukuje brukuje
swą drogę z nikąd do nikąd

PORACHUNKI

Nie będą to już porachunki o byle co
na przykład dwóch mężczyzn z nożami na wyrost
o honor
na polance w lesie
sekundanci w cylindrach kobieta za drzewem

albo sztaby pochylone nad mapą
czoła w bliznach i perłach głębokiego myślenia
w monoklu mróz

Pierwszy wybuch będzie dla wszystkich ostatnim
wszystkie noże się skrzywią i spełzną na niczym
perły głębokiego myślenia
wszystkie mapy
zwiną się nagle w jeden rulon dymu
do wody skoczy kobieta za drzewem
w ogień skoczy drzewo

a jeśli tych dwóch na polance cudem ocaleje
nie będą to już porachunki o byle co
bez końca będą musieli rachować
i nie doliczą do trzech

GRA

Nawet dzieci nauczyły się prędko tej gry
z palca ten ten ten
strzelały do dorosłych więdnących pod ścianą
w przerażonym szeregu

Tamci padali dopiero nazajutrz
za tydzień za rok
za górami lasami w kraju bezpamięci
gdzie nikt nie ma niebezpiecznych sąsiadów
a wilki boją się dzieci

Gdy pytały jak się nazywa ta gra
mówiono im „naród wybrany"

Idzie się ciepło zimno oczy przewiązane
chusteczką lub życiem
i z wszystkich wybiera

siebie
siebie
siebie

ŻYCIE

Razem bawili się pod stołem
stawali na nogi
z biegiem czasu biegli beztroscy jak dzieci
którym w zegarze najważniejsza kukułka
blaszany kogut na wieży dyrygujący wiatrami
najwyższym dostojnikiem Kościoła

To samo słowo wschodziło im rano
w gałęziach gruszy w promieniach poezji
to samo serce zachodziło za las
oczy za mgłę ręce w włosach matki

Wracali z wypraw w góry
nieziemsko skupieni
niosąc lipcową noc na plecach jak skrzydła ogromne
w tym samym zimowym księżycu maczali swe pióra
by opisać śmierć

I tu rozdzieliło ich życie

— oni widzą wciąż
na wzgórzu szkielet z czerwonym jabłuszkiem
w chłodnych tiulach mgły

on: rozżarzoną równinę
na której drżącą rękę stawia
krzyżyk za krzyżykiem

jak analfabeta
podpisujący niezrozumiały dokument

CIENIE

Rozmawiamy spokojnie
(słońce świeci)
nic absolutnie nie mamy sobie do powiedzenia
nie łączy nas nic
a nie możemy się rozejść
nie wiemy jak

Bo gdy któremu
ziemia pod stopami zaczyna się palić
drugi leje wodę

I tak
w kałuży wspólnej nienawiści
godzinami
łżemy sobie w oczy spokojnie
cierpliwie
jak ludzie cywilizowani

Raz nasze cienie na ścianie
zaczęły się bić

JAK SIEBIE PODZIWIAĆ

Należy unikać luster
i spokojnej wody
wody nieświęconej
zbyt ostrych zakrętów

tych z kantem Dziejów
gdzie się z swej miarki wysypuje człowiek
i pozbierać nie może
i ani w łzach salis sapientia
ani w pocie czoła

pytamy wiatru
„co to jest: człowiek"?
(ma to poniekąd być nam usprawiedliwieniem)

Należy czytać Pismo św.
ślepo wierzyć
w czerwoną czarną żółtą białą glinę
z której według ras
akurat zważcie w szósty dzień stworzenia
MY — na podobieństwo Boże

Wtedy przyznajcie
naprawdę już trzeba
podziwiać siebie

Siódmego dnia na przykład
odpoczynku dnia
mogło się było nam skończyć na glinianych
garncach
pełnych niedzielnej nudy

Zanosiło się nam chyba
na coś podobnego

— mamy dwoje uszy

UCHO

Wiecznie nas ciągną za ucho
przez łazienki szkoły
sypialnie do grobu

Napisane jest: Oko
za oko ząb za ząb

— ucho
spod praw zemsty zostaje wyjęte

Nawet Jezus
z szacunkiem podniósł z ziemi
odrąbane ucho
(bo jak bez ucha Kazanie na Górze
na początku Słowo?)
oddał Malchusowi

a Szymona skarcił
i nazwał kamieniem
i klucze raju dał do trzymania na wieki
by mu zająć czymś ręce

Wybranym został Jan

On jeden
widział straszne ucho
które do nas przywiera
gdy mówimy o niczym

PALEC WSKAZUJĄCY

Chciałem wyrzucić z siebie
wszystko
całe raz na zawsze
było większe niż podejrzewałem
coś na miarę krtani
może ichtiozaura

„Powoli" (ona)
„nie śpiesz się — po kawałku
powiedz"

Wyrywałem z siebie
ochłapy jakieś
nie do zweryfikowania
serce mózgu trochę
i zielone oko
które jej zaraz przeciekło przez palce

Wszystko zniosła
zawsze lubiła drastyczne zabiegi
chirurga rzeźnika

Dopiero kiedy wydobyłem z wnętrza
wskazujący palec
poczuła się zagrożona i zaczęła drżeć

Ani się jej śniło
jaki pazur ma
palec z palca wyssany

WETERANI

W czarnych czółnach hełmów
dzień wnieśli na dzidach
niebo jak wyrok jasne i niebłagane

w topniejącym śniegu
miasteczko

Mieli rozkaz więc są
konni i piechurzy
wzrok spętany wicher
ruchy weteranów
umiejących odnosić zwycięstwa nad sobą
— nic się nie spieszyli

Bez nienawiści w sercu
bez litości w oku
u stóp rodziców zamienionych w psy
z pożaru wyjące
nożem po gardziołku
głowiną o mur
krótko sprawnie
z precyzją fachowców
dzieci wybijali

Ściśle w ramach rozkazu
bez żadnych ekscesów

— szyb nie wybijali

HONOR

Tylko mewy krzyczały
gdy ten statek tonął
wśród głuchych salw milczenia
z podniesioną banderą

Zaraz okazało się że najlepiej
pływać potrafią szczury
potem przyjaciele
machający z molo rzewnie chusteczkami
nurkujące nagle
a szare zimne tło
bez najmniejszego pluśnięcia

Gdyśmy leżeli na brzegu
wymiotując śmierć
a było nas dwóch czy półtora
dzisiaj nie pamiętam
wierzyliśmy honor
wytropimy te szczury
pozmieniamy nazwiska i pójdziemy w głąb
kanałami
jak konspiratorzy

Ale szczury uciekły z cuchnącego cienia
na otwarty świat

— słyszymy je nieraz
w gnoju zagubieni
jak wystukują obcasami trotuar
wołają na słońce
taksówka!

WIDOK Z GARBU XX-go WIEKU

Niebo na strzępy podarte
doliny bez dna
góry do góry nogami
ich morza wsiąkły
gdzie?

porzucone z pięknymi mapami
gdy Utopię ewakuowano
i konały w mgle
chore światełka wieków oświecenia

Wszedł Duch Postępu z trąbą pełną sadzy
i koncertowano
kwintet na pięć parowych młotów
a komarów mozart
arie do krwi ciął która miała płynąć
z shoene Donauwellen
i nie słyszał nikt
zgrzytu w obrotach zmęczonej planety

doliny bez dna
góry do góry nogami

poskręcane perspektywy żelaznego wieku
na których kiedyś Orient Express
Comte Spencer i Prus
z pozytywną miną

do Sarajewa dojechali

Hańba tej wysiadki!

DUCHY

Kto piaskiem rzuca
w okno przy którym chciałem tworzyć
nowy piękny świat
w domu który miałem zbudować
w miejscu które mówi
gdzie i kim jestem

nad morzem
które zacisnęło się
w bezsilny przypływ-odpływ
pięści?

NIC

W kluczu bramy niebieskiej
w kluczu od przepaści
przekręcam się w sobie przekręcam

— nic się nie otwiera ...

Jak to pięknie że nic się nie otwiera
Jak to pięknie że zostaje zamknięte

Choć coś nie do zaśmiecenia!

MIŁOŚĆ

Nad nami mrok
odległe światła wiecznych zaniemówień
wewnątrz: mróz i mgła
podskórne horyzonty przeczucia
kruche gałązki gestów
zbłąkane ptaki słów

Między nami przepaść
umownie nazwana miłością
dwie głuche ściany
z gruzu serca porośnięte mchem
staramy się nie krzyczeć
drzwi zamykać cicho
nie wywołać lawiny

Bo na dnie
bawią się nasze dzieci
łaszą się do kwiatów mruczą do kamieni
stają na tylnych łapkach
i w tą czy tamtą stronę próbują się wdrapać
aby spojrzeć nam w oczy

Widzimy siebie
poprzez lata świetlne
spuszczone powieki
pocałunkami dzieciom zaklejamy usta
mówimy:
miłość jest ślepa

DOBRA JEST ŚMIERĆ

Dobra jest śmierć
sprząta po nas zamiata
i kładzie serca nasze
zawsze na właściwym miejscu

A życie co nam daje
prócz żylaków
i strachu że łopaty
w trumnę nam nie włożą?

Jakie piękne rzeczy się widzi
spokojnie idąc do grobu!

ISKRA

W popiele
którym sobie posypałem głowę
była iskra

w worku
którym zasłoniłem twarz
było ziarnko

pod ziemią
w której skryć się chciałem
szperał złoty korzeń

już się nie boję
sam na sam zostać z prawem grawitacji
z jedwabnym krawatem

już nie woła dno

W popiele
którym sobie posypałem głowę
była iskra

SPIS RZECZY

Westminster 7
Graeae 8
Ikar 9
Od rarogów 10
Post mortem 13
Drzewo sprzeczki 14
Z psychologii klucza 15
Kto idzie? 16
Great grandfather clock 17
Moje, święcone 19
Aegeus 22
Cioci z wroną 24
Złoty deszcz 25
Szkoła przyzwyczajenia 26
Ostatnia wieczerza 27
Moje, zamurowane 28
Koła 31
Kierat 36
Dwie wieże 37
Piorunochron 38
Z niepodręcznika zoologii 39
Węgorz 41
Lustro 42
Sen tzw. wieczny 44
Homo faber 46
Dzieci nasze będą mówiły 47
Droga 48
Porachunki 49
Gra 50
Życie 51
Cienie 52
Jak siebie podziwiać 53
Ucho 54
Palec wskazujący 55
Weterani 56
Honor 57
Widok z garbu XX-go wieku 58
Duchy 59
Nic 60
Miłość 61
Dobra jest śmierć 62
Iskra 63